

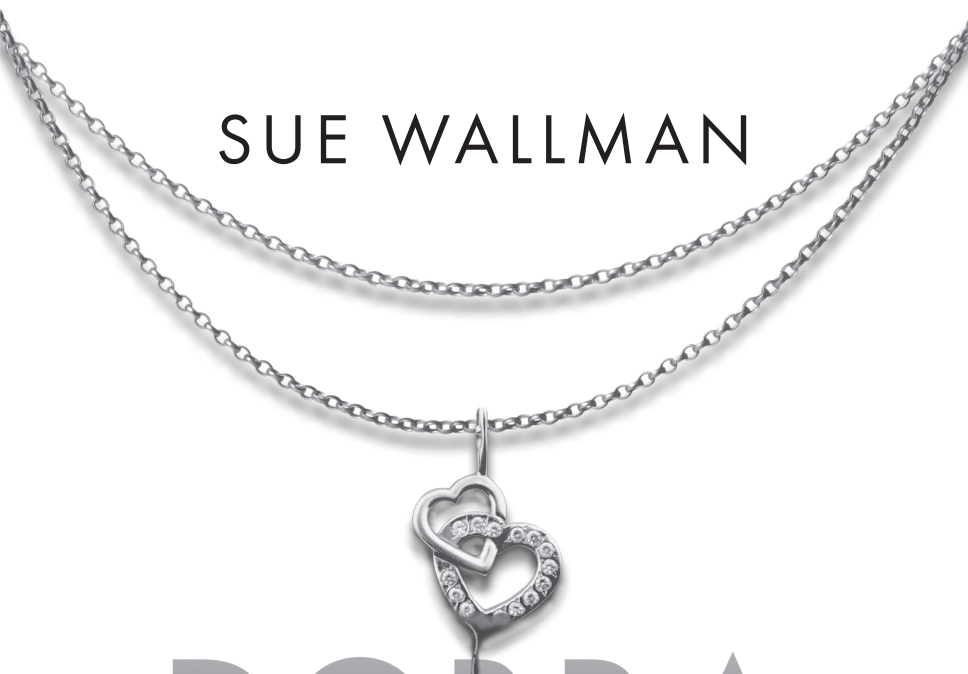
Fragment darmowy udostępniony przez Wydawnictwo
w celach promocyjnych.

EGZEMPLARZ NIE DO SPRZEDAŻY!

Wszelkie prawa należą do:
Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.
Warszawa 2013

www.zielonasowa.pl

DOBRA
~~DZIEWCZYNA~~
KŁAMCZUCHA



SUE WALLMAN

DOBRA
~~DZIEWCZYNA~~
KŁAMCZUCHA

Przełożyła Marta Ziegler

LYA

Tytuł oryginału: *Such a good liar*

Tekst: Sue Wallman

Przekład: Marta Ziegler

Redaktor prowadząca: Aleksandra Gronowska

Redakcja: Alina Staniuk

Korekta: Elżbieta Wołoszyńska-Wiśniewska

Opracowanie graficzne okładki i skład: Monika Nowicka

First published in the UK by Scholastic Ltd, 2022

Text © Sue Wallman, 2022

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.,
Warszawa 2023

All rights reserved

Wydanie I

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo
fragmentów książki możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

ISBN 978-83-8240-955-0

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.

00-807 Warszawa, Al. Jerozolimskie 94

tel. 22 379 85 50, fax 22 379 85 51

kontakt@books4ya.pl

www.books4ya.pl



Dla stałych czytelników mojej biblioteki –
którzy wnoszą w nią determinację,
życie i poczucie wspólnoty

ROZDZIAŁ 1

NIEDZIELA

Kiedy Shannon Jones opuszczała pokład niewielkiego prywatnego promu i wkraczała na wyspę Fengari, słońce świeciło dokładnie tak, jak sobie to wyobrażała. Podczas godzinnego rejsu na wyspę połyskiwało na wodzie, a teraz jego blask odbijał się od betonowej ściany przystani. Maszty wymuskanych jachtów zacumowanych w marinie pobrzękiwały, a liście palm rosnących wzdłuż kładki falowały na lekkim wietrze.

Unoszący się w powietrzu zapach benzyny różnił się od słonej woni morza, której się spodziewała, ale nie zepsuło to jej pierwszego wrażenia; benzyna zupełnie jej nie przeszkadzała.

Po tak długim oczekiwaniu, by się tu znaleźć, wypełniła ją ekscytacja, która przez moment zapała jej dech w piersi. Shannon kiwnęła majtkowi głową w podzięcie – zauważyła bowiem, że tak robili pozostali. Chłopak miał

na sobie beżowe spodenki, granatową polówkę i brązowe buty żeglarskie. Stał w pogotowiu, by w razie potrzeby pomagać pasażerom zejść z pokładu. Odwzajemnił jej gest, ruszając do przodu, by chwycić pod ramię idącą za nią starszą kobietę, którą powitał z powrotem na wyspie i zapytał o zdrowie jej psów.

Shannon poprawiła okulary słoneczne, podciągnęła pasek swojej różowej torebki Prady i raz jeszcze pogratulowała samej sobie, że zapłaciła, by jej bagaż został wysłany prosto do Linton Lodge, gdzie zamieszka. Nie była pewna, jak długo tutaj zostanie ani jakich ubrań będzie potrzebować, a to oznaczało, że musiała spakować się w dwie ogromne walizki.

Ustawiła się tak, by znaleźć się w połowie kolejki do zejścia z promu. Chciała przyjrzeć się stojącym przed nią ludziom i wmieszać się w nich. Nie mogła sobie pozwolić na okazanie braku pewności siebie. Wszystko musiało iść gładko, od kiedy tylko zamówiła taksówkę na lotnisko, by opuścić Londyn. W wyłożonej ciemnymi panelami kawiarni na Heathrow wypila espresso, chociaż miała ochotę na karmelowe frappuccino. Odmówiła sobie miętowej bułeczki z rodzynkami, która kusila ją z kosza stojącego na ladzie, bo nie była już osobą, która lubiła rodzynki, a nawet jakiegokolwiek wypieki i musiała się do tego przyzwyczaić.

Przed prostą, drewnianą budką zaczęła tworzyć się kolejka. Osoby znajdujące się z przodu zapewne miały tutaj swoje letnie domy i bez przerwy podróżowały tym

niewielkim prywatnym promem, kiedy nie korzystały z helikopterów. Być może Shannon też wróci na kontynent helikopterem, jeśli zostaną jej jakieś pieniądze – myśl o locie ją przerażała, ale jeśli uda jej się zrobić to, po co tu przyjechała, już niczego nie będzie się bać.

Wzięła głęboki oddech, otworzyła swoją cenną, różową torbę i wyjęła paszport. Nie był to ten sam dokument, którego użyła, by dostać się na kontynent. To byłoby zbyt ryzykowne. Jednak tutaj pokazywanie paszportu było jedynie formalnością – wyspa była w zasadzie prywatna. W pobliżu stał ochroniarz, ale był on tam głównie po to, by kolejka szła płynnie.

Mimo to, gdy zbliżała się jej kolej, by podejść do drewnianej budki, zaschło jej w gardle, a naczynko na czole zaczęło pulsować. Żałowała, że nie wzięła ze sobą butelki wody, którą miała na łodzi.

– Następny – powiedział mężczyzna w budce. Miał poważną minę, a o siwiznę na czubku jego głowy opierały się okulary w złotych oprawkach.

Shannon ruszyła do przodu i wyjęła paszport. Nagle papier wydawał się zbyt cienki, a złoto na oprawie zbyt krzykliwe. Nie miała pojęcia, czy umieszczony w środku chip był jakości, za jaką zapłaciła. Spotkała się spojrzeniem z mężczyzną i uśmiechnęła.

– Pierwszy raz na Fengari? – zapytał, zakładając okulary na nos i jedną ręką wpisując coś do komputera.

– Byłam tu już kiedyś, gdy miałam sześć lat – odpowiedziała Shannon, owijając torebkę mocniej wokół ciała.

Kiwnął głową. Ta informacja najprawdopodobniej pojawiła się przed nim na ekranie.

– Gdzie się panienka zatrzyma?

– W Linton Lodge.

– A jaki jest cel wizyty? – zapytał, oddając paszport.

– Letnie korepetycje – powiedziała z westchnieniem, jakby wcale nie chciała znaleźć się na wyspie. – Matma i angielski. No i spotkanie z przyjaciółmi rodziny.

Mężczyzna podniósł pytająco brew.

– Czyli z kim...?

– Z Harringtonami – odpowiedziała. Wepchnęła paszport z powrotem do torebki, tuż obok srebrnej zapalniczki.

– Cudowna rodzina – powiedział, z powrotem podnosząc okulary na czubek głowy, i po raz pierwszy uśmiechnął się. – Ale jeszcze ich tu nie ma, czyż nie?

Shannon pokręciła głową.

– Wkrótce się zjawia – odpowiedziała.

Oby jak najszybciej. Już nie mogła się doczekać spotkania z córkami Harringtonów – Annabel i Emily.

– Kiedy była tu panienka ostatnio, pewnie widziała naszego sławnego Dennisa? – zapytał mężczyzna.

Shannon dokładnie przestudiowała informacje o wyspie, ale nie miała pojęcia, o kim on mówi.

Mężczyzna przeniósł wzrok na ekran komputera.

– Sprawdzę, który to był rok. Tak, podczas ostatniej wizyty panienki Dennis jeszcze tutaj był. Proszę nie mówić, że panienka nie pamięta. – Przesłał Shannon zadowolone spojrzenie. – Wszyscy go kochaliśmy.

Mimo że każda komórka w jej ciele wrzeszczała, Shannon spojrzała na mężczyznę znudzonym wzrokiem bogatych dziewczyn, które śledziła na Instagramie, i powiedziała:

– Przykro mi, nie pamiętam żadnego Dennisa. Tak jak mówiłam, to było wieki temu.

– Oczywiście – odpowiedział. Był widocznie zakłopotany. – Dennis był delfinem. Przyplýwał do nas trzy lata z rządu, prosto do przystani. Był naprawdę wyjątkowy. – Mężczyzna rzucił okiem na Shannon. – Nie powinienem wstrzymywać kolejki. Miłego pobytu!

Shannon przeszła przez otwartą bramę przystani do postoju taksówek i na parking, a jej puls wrócił do normalnej szybkości. Chodnik obramowany był podłużnymi kamiennymi kwietnikami, które obsadzono jaskraworóżowymi kwiatami. To musiał być znak. Jej mama uwielbiała mocne odcienie różu. Drogę zablokowała srebrna terenówka, a okno od strony pasażera zjechało w dół.

– Kochani!

Młoda para, która również była na promie, pomachała i pospiesznie ruszyła w stronę samochodu. Grupa ludzi podeszła do białego minibusa, gdzie powitała ich dziewczyna w letniej sukience w kwiaty, do której przyczepiona była złota, połyskująca na słońcu plakietka z imieniem. Na cyfrowej tabliczce z przodu busa widniał napis „KURORT TREBAYA”. Shannon wiedziała, że znajduje się on po drugiej stronie wyspy. Jej mama tam była i powiedziała, że bardzo chciała, by mogły go razem zwiedzić.

Nagle Shannon poczuła coś na kształt płaczliwego zmęczenia. Miał po nią przyjechać czarny mercedes, ale nie widziała go w pobliżu.

– Jesteś Lydia Cornwallis?

Podeszła do niej kobieta około pięćdziesiątki, z krótkimi, cienkimi, brązowymi włosami i szeroką talią. Miała na sobie zieloną sukienkę z paskiem i białe tenisówki. Helen. Shannon widziała jej zdjęcie na stronie internetowej Linton Lodge.

Kiwnęła kobiecie głową. Było jej słabo.

– Tak – odpowiedziała.

– Jestem Helen, właścicielka Linton Lodge. – Wyciągnęła dłoń, a Shannon ścisnęła ją, odwzajemniając siłę uścisku, tak jak radzono w filmie na YouTube na temat pewności siebie. – Będziesz się świetnie bawić na Fengari w czasie wolnym od nauki. – Uśmiechnęła się do niej rażno. – Twoje bagaże dotarły wczoraj. Tędy. Pewnie masz ochotę wziąć prysznic i odpocząć nieco przed kolacją. – Nawet po akcencie można było wywnioskować, że kobieta pochodzi z wyższych sfer.

Shannon poszła za Helen do mercedesa, który stał w połowie na chodniku, a w połowie na drodze. Wyglądało na to, że Helen oczekiwała, że Shannon usiądzie z przodu i będzie zabawiała ją rozmową. Dziewczyna weszła do samochodu, zadowolona, że jej białe jeansy nadal były nieskazitelnie czyste, choć miała pewność, że ludzie pokroju Harringtonów nie przejmowali się takimi rzeczami tak bardzo jak ona.

Helen włączyła kakofoniczną, niepozwalającą się odprężyć muzykę klasyczną. Gwałtownie zjechała z chodnika i powiedziała:

– Rozumiem, że przyjażnisz się z Harringtonami?

– Można tak powiedzieć – odpowiedziała Shannon, prostując się na siedzeniu. Musiała być czujna pomimo *jet lagu* i skoncentrowana na akcencie, przy Helen powinna brzmieć na londynkę z wyższych sfer. – Mama i Rosie Harrington chodziły razem do szkoły. – Przytrzymała pas bezpieczeństwa. – Minęło sporo czasu, od kiedy ostatnio się z nimi widziałam, i niewiele pamiętam z wakacji, które spędziłam tu jako dziecko.

– To cudowna rodzina, od bardzo dawna ma tutaj dom – powiedziała Helen, wpychając się pomiędzy samochody, które stały w kolejce do opuszczenia parkingu.

Ach, ci cudowni Harringtonowie.

– Przejedziemy obok ich domu – dodała kobieta. Skręciła, wyjeżdżając z parkingu. Droga była szeroka, a asfalt błady, jakby wybielony przez słońce. – Od Linton Lodge dzieli go spacer.

Shannon kiwnęła głową. Wiedziała o tym. Trasa pieszo zajmuje czternaście minut.

Przyciskała policzek do chłodnej szyby, a długie włosy – które niedawno przefarbowwała na ten odcień brązu – opuściła do przodu, by Helen nie widziała jej twarzy. Nauczyła się, że nie zawsze można ukryć silne emocje. Istniały sygnały, które mogły zostać odczytane przez wnikliwe osoby.

Z letniej posiadłości Harringtonów rozciągał się podobno najpiękniejszy widok na wyspę. Stała ona na klifie, z którego było widać Stare Miasto, przystań i morze. Był tam też basen, kort tenisowy, domek letniskowy i dostęp do plaży. Wewnątrz z kolei znajdowały się dzieła sztuki oraz meble, które przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Zobaczyła zbliżający się czerwony dach. To tu.

– To tamten dom – powiedziała Helen. – Clifftop House, jedna z moich ulubionych posiadłości na Fengari.

Gdy podjechały bliżej, Shannon poczuła nagły ból w klatce piersiowej. Oto i on: dom, w którym zabito jej matkę. Dom, w którym osoby odpowiedzialne za jej śmierć nadal spędzały wakacje. Przez moment zagotował się w niej gniew. Chciała wyskoczyć z samochodu, szarpnięciem otworzyć bramę, wbiec po podjeździe i siłą dostać się do środka. Kawałek po kawałku zniszczyłaby ukochany dom Harringtonów, zanim w ogóle dotarliby na miejsce.

Ale nie było tu teraz Shannon Jones, była Lydia Cornwallis.

Odwróciła się więc do Helen, przesyłając jej uprzejmy uśmiech, i powiedziała:

– Jest przepiękny. Nie mogę się doczekać, by znów go zobaczyć.

ROZDZIAŁ 2

Wieczór minął bardzo szybko – Shannon odebrała swój bagaż i zjadła kolację w wyciszonej atmosferze eleganckiej jadalni Linton Lodge. Proponowany zestaw składający się z pikantnych krewetek, wieprzowiny i suszonych śliwek z duszoną zieleniną oraz tarty agrestowej z kremem wyglądał obrzydliwie. *Menu à la carte* nie było o wiele lepsze, poprosiła więc o burgera i frytki, których nie było w karcie, z uwielbieniem słuchając kelnera mruczącego pod nosem, że zobaczy, co da się zrobić.

– Przepraszam, że jestem upierdliwa, ale jeśli to możliwe, to poproszę o dodatkowe pikle, a burgera bez bułki. – Lydia lubiła wybrzydzać, ale szczęśliwie nie była wegetarianką.

Kilka chwil później kelner wrócił posuwistym krokiem i poinformował ją, że szef kuchni z radością spełni jej prośbę. Siedząc tu sama, czuła się niezręcznie i była

zła na siebie, że posłuchała Helen, która twierdziła, że o wiele przyjemniej będzie zjeść w jadalni niż w pokoju. To był pierwszy i ostatni raz. Czasy zaspokajania potrzeb innych ludzi minęły bezpowrotnie.

Zdjęła buty i – najszybciej, jak mogła – zanurzyła się w swoim łóżku w pokoju na pierwszym piętrze. Gdy Helen pokazała jej to pomieszczenie, Shannon zrozumiała, jak bardzo rozpieszczona była Lydia. Ozdobne łóżko było ogromne, białoniebieska pościel wykonana była z satyny, a podłoga zrobiona z wypolerowanego drewna w kolorze miodu. W pokoju znajdowało się tyle szafek, że cały jej bagaż z łatwością się w nich zmieścił, a standard czystości w wystawnej białej łazience był niesamowity.

Helen pokazała jej, do czego służyły poszczególne piloty, sprawdziła, czy Shannon ma wystarczające zapasy kawy, herbaty, mleka i domowych ciasteczek owsianych, oraz wyjaśniła, że codziennie do jej pokoju będą dostarczane świeże owoce. Zwróciła też uwagę na stojący na komodzie wazon wypełniony delikatnymi niebieskimi i białymi kwiatami, które przysłała Rosie Harrington. Przywiązany do nich był niewielki liścik:

„Najdroższa Lydio – witaj na Fengari! Odezwę się, gdy dotrzemy. Rosie Harrington”.

Leżąc na łóżku, Shannon spojrzała na kwiaty i pomyślała o tym, jaka wiązanka bardziej by jej odpowiadała. Eksplozja kolorów. Najróżniejsze kształty płatków. Zapach, który uderzał w nozdrza niczym woń przekrojonego dojrzałego owocu. Shannon wiele dowiedziała się

o kwiatach podczas pracy w kwiaciarni Clarissy Cornwallis. Zresztą przez ten rok od kiedy zmarła jej mama i wszystko się zmieniło, dowiedziała się mnóstwa rzeczy, o których wcześniej nawet nie myślała. Jej nauczyciele w koledżu przygotowującym do egzaminów końcowych¹ nie mieli pojęcia, do czego była zdolna, i już nigdy się tego nie dowiedzą. Zniknęła po cichu – zaczęła opuszczać lekcje, przestała odbierać telefony i przychodzić na spotkania, aż w końcu zostawiła wiadomość, że przeprowadziła się do taty na północ kraju. Tak naprawdę nie miała pojęcia, gdzie był jej ojciec – nigdy tego nie wiedziała. Koledż przydał jej się za to do zdobycia podrobionego paszportu – dzięki odpowiednim znajomościom można było sobie załatwić wszystko, łącznie z rzeczami niekoniecznie legalnymi. Jedyne, czego Shannon żałowała, to kłótnia z przyjaciółką, Elą, i utrata kontaktu z jej rodziną, jednak było to nieuniknione. Ela jej nie rozumiała. Uważała, że zainteresowanie, jakim Shannon obdarzała rodzinę Harringtonów, było niezdrową obsesją.

To wszystko oznaczało, że nikt za nią nie tęsknił.

Od teraz będą się z nią kontaktować najprawdopodobniej tylko Lydia lub Clarissa Cornwallis. Właśnie przyszedł SMS od Clarissy:

„Daj znać, czy dotarłaś bezpiecznie :*”.

1 W brytyjskim systemie edukacji ostatnie dwa lata szkoły średniej są nieobowiązkowe i można je odbyć zarówno w tej samej placówce, co poprzednie lata, jak i pójść do specjalnego koledżu przygotowującego do egzaminów dojrzałości [przyp. tłum.].

Shannon odpowiedziała:

„Cześć, mamuś, wszystko w porządku. A teraz zostaw mnie w spokoju, jak obiecałaś :*”.

Clarissa odpowiedziała natychmiast, wysyłając dwa serduszka.

Jeszcze rok temu udawanie, że ktoś inny jest jej mamą, byłoby dla Shannon czymś niepokojącym, wręcz nie do pomyślenia. Wiele przeszła od tego czasu. Teraz był to środek do osiągnięcia celu.

Szybko wysłała osobną wiadomość do Lydii, którą zapisała w kontaktach jako „Lyra”, na wypadek gdyby ktoś zerknął jej przez ramię. Dała jej znać, że dotarła i że wszystko idzie zgodnie z planem. Lydia, która najprawdopodobniej zapisała Shannon w telefonie jako „Rhiannon”, bo tylko pod takim imieniem ją знаła, odpowiedziała:

„Ale beka. Niezłe jesteście!”

Lydia dała Shannon hasło do swojego Instagrama, aby razem mogły pisać do Clarissy z tego samego konta. Było to przydatnym, lecz nie idealnym rozwiązaniem, biorąc pod uwagę, że Lydia była w Europie, pięć godzin do przodu.

Gdy planowały z Lydią zamianę, Shannon zawsze starała się mówić o niej jak o czymś zabawnym lub traktować ją jak ciekawe wyzwanie. Zastanawiała się na przykład, ile czasu minie, zanim zostaną zdemaskowane. Stwierdziła, że gdy rodzice Lydii się dowiedzą, na początku będą źli, ale gdy sprawa przycichnie, wyrażą podziw dla śmiałości i pomysłowości córki.

– Mam nadzieję, że tatuś uzna to za niezły figiel – powiedziała Lydia. – W moim wieku sam nieźle dokazywał.

Shannon pomyślała, że słowo „figiel” jest bardzo w stylu rodziny Cornwallisów.

Dziewczyna była zbyt zmęczona, by się należycie rozebrać, zmyć makijaż czy umyć zęby. Nie wstając z łóżka, wyslizgnęła się z ubrań. Jednym z pilotów zgasiła światło, w ciemności dotknęła zawieszonych na szyi złaczonych złotych serc, pomyślała o mamie i zaczęła, aż zmorzy ją sen.

PONIEDZIAŁEK

Shannon wcześniej się obudziła. Słońce już przedzierało się pomiędzy listewkami białych żaluzji. Wstała z łóżka i nałożyła jedwabisty szlafrok z wyszytym na kieszeni symbolem Linton Lodge – dwoma splecionymi ze sobą literami L. Jej pokój wychodził na soczysty zielony ogród, pełen szerokich rabat, na których rosły uwielbiające słońce rośliny z ogromnymi pełnymi płatków kwiatami. Na trawniku stał obracający się w tę i w tę, syczący zraszac.

Shannon wzięła długi prysznic, zerknęła na fałszywe znamię na prawym ramieniu i zadzwoniła do recepcji, by poprosić o przyniesienie śniadania do pokoju. Nie krępowała się przy zamówieniu – wzięła pełne angielskie śniadanie z dodatkową porcją placuszków ziemniaczanych. Czekając na nie, rozpakowała się – zawiesiła

ubrania, wypełniła szuflady, a srebrną zapalniczkę położyła na stoliku nocnym. Kupiła ją w dniu, gdy dostała pracę w kwiaciarni Clarissy Cornwallis. Miała dla niej znaczenie symboliczne – niezależnie od tego, co się stanie, ogień zwalczy ogniem.

Gdy zanurzyła tosta w fasolce po bretońsku, w jej telefonie zabrzmiała wiadomość od Koledżu Przygotowawczego Fengari, przypominająca Lydii o korepetycjach jeden na jeden, zarezerwowanych tego dnia na jedenastą. Jej korepetytorka o imieniu Miriam miała spotkać się z nią w holu Linton Lodge.

Shannon przybyła na wyspę w bardzo konkretnym celu, którym nie było uczenie się matematyki i angielskiego. By mieć wolną rękę w jego osiągnięciu, wiedziała, że będzie zmuszona ograniczyć czas spędzany z Miriam do absolutnego minimum.

Włożyła luźne czarne spodnie do jogi, czarne trampki i koszulkę z napisem „To wspaniały dzień, by zburzyć patriarchat”. Była ona inną wersją t-shirtu, w którym widziała Lydię na brunchu ze znajomymi, chociaż Shannon zdawało się, że Lydii patriarchat raczej sprzyja. Zmusiła się, by poczekać do 11.05, zanim zeszła na dół. Clarissa do wszystkiego używała tego samego hasła, więc Shannon widziała maila, którego wysłała do koledżu. Clarissa wyjaśniała w nim, że Lydia kilka razy oblała matematykę podczas egzaminów kończących szkołę średnią i zupełnie straciła pewność siebie w tym przedmiocie. Pytała też, czy w szkółce letniej znajdzie się odpowiedni korepetytor,

który pomógłby zmienić tę sytuację. Dodała, że Lydia potrafi być niezorganizowana, niepunktualna, niezmotywowana, a czasem też humorzasta, ale pod tym wszystkim jest bardzo bystrym dzieckiem o czarującej osobowości.

Shannon parsknęła głośno. Nie poznała żadnych dowodów na rzekomą bystrość ani czarującą osobowość Lydii.

Nikt nie wziąłby Miriam za mieszkankę Linton Lodge. Miała na sobie nietwarzową granatową sukienkę – dekolt był zbyt wysoki, a sama sukienka za długa, w dodatku materiał zbierał się wokół jej tyłka. Jej puszystej, wywiniętej na końcach, blond fryzurze przydałoby się odświeżenie. Przywitała Shannon z niepotrzebną piskliwą ekscytacją w głosie i poprowadziła ją do niewielkiej sali konferencyjnej, gdzie usiadły przy owalnym stole.

– Dziś pouczymy się tutaj – powiedziała. – A jutro spotkamy się w koledżu. Na pewno spodoba ci się tamtejsza atmosfera. Tętni tam życie, a widok z sali konferencyjnej na najwyższym piętrze jest niesamowity. – Zakołysała ramionami, jakby spędzanie czasu w salach konferencyjnych było spełnieniem marzeń każdej siedemnastolatki.

– Spoko – odpowiedziała Shannon.

Powinna mieć Miriam po swojej stronie, na wypadek gdyby w przyszłości musiała się wymigać od lekcji.

– Na samej wyspie też będziesz się świetnie bawić – kontynuowała Miriam. – Ale zajmijmy się teraz nauką. – Położyła dłonie płasko na stole, by zasygnalizować, że czas obniżyć nieco poziom ekscytacji. – Masz ze sobą

piórnik i zeszyt? Powinnaś była otrzymać na ten temat maila.

– O nie! – powiedziała Shannon. – Zupełnie zapomniałam.

Tak zachowałyby się Lydia.

– Nie ma problemu! – odpowiedziała Miriam, a uśmiech nie schodził z jej twarzy. – Przyniosłam coś ze sobą.

Z wypakowanej bawełnianej torby wyjęła przezroczysty plastikowy skoroszyt na zamek. Wewnątrz znajdowała się książka z ćwiczeniami do matematyki w formacie A5, czarny, niebieski i czerwony długopis, dwa ołówki, gumka do mazania, zestaw przyborów matematycznych i kalkulator.

Widząc to wszystko, Shannon przypominała sobie paczkę, którą dostała w szkole, gdy musiała przyznać opiekunce roku, że jej mama nie miała pieniędzy, by kupić jej przybory.

Wyjęła zeszyt ćwiczeń i zaczęła go przeglądać. Zawsze uwielbiała artykuły papiernicze, ale wiedziała, że Lydia byłaby teraz znudzona, a jej twarz nie wyrażałaby emocji.

– Wiem, że matma potrafi być zniechęcająca – powiedziała Miriam, opierając łokcie na stole i nachylając się ku Shannon. – Jestem tu po to, by ci pomóc, krok po kroku. Obiecuję, że pod koniec lata będziesz z optymizmem patrzyła na egzamin poprawkowy. – Urwała i wyciągnęła z torby podręcznik. – Zaczynamy? – zapytała.

Matematyka to ulubiony przedmiot Shannon, zaraz po informatyce. Egzamin kończący szkołę średnią zdałaby

zapewne na osiem lub dziewięć², gdyby jej nauczyciel nie odszedł w połowie ostatniej klasy, a jego zastępca uczył właściwego materiału. Zadania domowe z matematyki uspokajały ją, dzięki wzorom i odpowiedziom, które zawsze były jednoznacznie dobre lub złe. W prawdziwym świecie matematyka była o wiele mniej uspokajająca, a zdecydowanie bardziej ekscytująca – obejmowała na przykład szacowanie, czy matka Lydii, Clarissa, zauważy, jeśli Shannon od czasu do czasu doprowadzi trochę pieniędzy z kwiaciarni.

Shannon pracowała w luksusowej kwiaciarni Clarissy Cornwallis w dzielnicy Kensington przez dziewięć miesięcy, zanim narodził się jej plan. Clarissa co jakiś czas wpadała tam, by popatrzeć na kwiaty i skomentować, jak wspaniale radziła sobie kwiaciarnia, a w rzeczywistości to Shannon miała większe pojęcie na temat finansów. Właścicielkami firmy były Clarissa i Rosie Harrington, ale żadna z nich nie interesowała się zbytnio księgowością. Rosie zainwestowała w to przedsięwzięcie tylko dlatego, że był to pomysł jej przyjaciółki, i zupełnie się do niego nie mieszała. Z kolei Clarissa lubiła mieć coś do roboty – wtedy gdy jej to pasowało. Była też menedżerka – znajoma, która nie miała tylu pieniędzy, co one, i to ona trzymała wszystko w ryzach.

Shannon celowo zatrudniła się właśnie w tym miejscu.

² Egzaminy GCSE na koniec obowiązkowej nauki w Wielkiej Brytanii są oceniane w skali od 1 do 9, gdzie 9 to najwyższa nota [przyp. tłum].

Co prawda celowała w Annabel i Emily Harrington, ale ich matka, która była we wszystko zamieszana, również mogła ponieść koszty. Na początku plan zakładał jedynie wyprowadzenie z firmy pieniędzy na bilet na Fengari, ale bogowie zemsty byli po jej stronie.

Nadal nie miała szczegółowego planu. Nie miała w końcu pojęcia, jakie możliwości pojawią się, gdy będzie już na wyspie. Wiedziała jedynie tyle, że Annabel i Emily słono zapłacą za to, co zrobiły.

Teraz, w sali spotkań, trudno było udawać, że wykresy, które pokazywała jej Miriam, sprawiały jej trudności. Shannon zmusiła się do tego, by pomylić osie x i y , a gdy Miriam coś jej tłumaczyła, zaczęła bazgrać na marginesie zeszytu ćwiczeń. Te lekcje to będzie droga przez mękę.

W końcu Miriam powiedziała:

– Nie mamy już dziś czasu na więcej. Bardzo solidnie pracowałeś, Lydio. Jestem z ciebie dumna.

Z kolei Shannon miała ochotę odchylić się na krześle ze złożonymi ramionami i powiedzieć: „Dumna? Serio?”.

Mimo że na zewnątrz był przepiękny dzień, zdecydowała się poprosić o przyniesienie lunchu do łóżka, by mieć czas przejrzeć swoje wydatki. Może później zejdzie się poopalać, gdy dookoła będzie mniej tłoczno – nie dlatego, że wstydziła się swojego ciała, a raczej ze względu na to, że chciała ograniczyć interakcje z ludźmi do minimum.

Przy schodach dopadła ją Helen.

– Jak minęły lekcje, Lydio? – zapytała. – Dobrze zaczęłaś?

Shannon pokiwała głową.

– To fantastycznie. Słyszałam, że dziś na wyspę dotarli Harringtonowie.

Serce Shannon zabiło szybciej.

– Ach, tak? – powiedziała. – To wspaniale.

Niecierpliwie dźgnęła palcem ekran telefonu. Żadnej wiadomości.

– Dałabym im trochę czasu, by się zadowolili. Jestem pewna, że wkrótce się odezwą – powiedziała Helen.

Cholera, nie powinna w tak oczywisty sposób ujawniać emocji.

– Dziś popołudniu kilka osób wybiera się na plażę – kontynuowała kobieta, wskazując na grupę ludzi jakiegoś dwadzieścia lat starszych od Shannon, którym przynoszono właśnie desery do stolików. Jeden z mężczyzn śmiał się jak piszcząca zabawka dla psa. – Może chciała-bys do nich dołączyć w minibusie?

Shannon pokręciła głową.

– Absolutnie nie – powiedziała i weszła po schodach do swojego pokoju, wiedząc, że Lydia zgodziłaby się z jej decyzją. Wysłała do niej wiadomość, jedząc wykwinną kanapkę i owoce z patery.

„Stwierdziłabyś, że te lekcje są do niczego. Ta kobieta jest niewiarygodnie nudna”.

Lydia odpisała:

„Hahahahaha. Tak się cieszę, że mnie tam nie ma!”

Po tym jak przestudiowała arkusz z wydatkami i spędziła półtorej godziny na opalaniu się ze słuchawkami

na uszach przy basenie, słuchając podcastów motywacyjnych o osiągnięciu zamierzonych celów, w końcu przyszła wiadomość. Shannon leżała właśnie w wannie z herbatą ze świeżej mięty, stojącą obok niesamowicie pachnących kosmetyków do kąpieli Aesop.

Nareszcie, nareszcie przyszło zaproszenie, na które czekała:

„Najdroższa Lydio, jesteśmy już na Fengari i z przyjemnością ugościmy cię na kolacji w Clifftop House jutro wieczorem”.

ROZDZIAŁ 3

WTOREK

Miriam zdecydowanie przereklamowała „tętniący życiem” koledż przygotowawczy na Fengari. Gdy Shannon zjawiła się tam następnego ranka w zamówionej przez szkołę taksówce, było tam troje innych uczniów – dwoje z nich siedziało w niewielkim, oszklonym pokoju, a ko-repetycji udzielał im mężczyzna w sztruksowych spodniach i koszuli w kratę. Trzeci drzemał na sofie w pokoju wspólnym, a gdy Miriam i Shannon weszły do środka, przekreślił się i beknięł.

– Tutaj jest biblioteka – powiedziała Miriam, wskazując samotną półkę. – Działa bardziej na zasadzie wymiany książek, ale jest bardzo popularna.

Drzwi pokoju otwierały się na niewielki dziedziniec z ławkami.

– A tu możesz się zrelaksować podczas przerw, gdybyś potrzebowała trochę świeżego powietrza.

Sala konferencyjna na szczycie budynku była jedyną interesującą jego częścią. Było z niej widać całą przystań – miejsce, do którego wpływały promy, zacumowane do brzegu kutry rybackie i jachty w marinie. Właśnie do przystani wpływał główny prom, o wiele większy niż ten prywatny. Turyści oparci o zewnętrzne barierki robili zdjęcia i wskazywali palcami. Przypłynięcie na tę prywatną wyspę było sporym przedsięwzięciem, mimo że nie znajdowała się ona daleko od kontynentu; liczba turystów była ściśle ograniczona, a nocleg i wyżywienie były drogie. To nie było miejsce, do którego przyperywiali wędrowcy z plecakami, chyba że mieli fundusz powierniczy.

Shannon i Miriam zjechały windą z powrotem na parter, gdzie zaczęły naukę w jednej z klas. Po chwili Shannon zaczęła złościć cierpliwość Miriam i jej umiejętność wyjaśnienia problemu matematycznego na mnóstwo różnych sposobów, jakby zupełnie nie ograniczał jej czas. To było niesprawiedliwe, że Lydia miała do tego wszystkiego dostęp, a zupełnie jej to nie obchodziło.

– Chyba spada twoja koncentracja. Zróbmy sobie piętnaście minut przerwy – powiedziała Miriam.

Shannon nalała sobie mochy z ekspresu stojącego w kuchennej części pokoju wspólnego i wyszła na dziedziniec, by uciec od Miriam. Usiadła na drewnianej ławce, która przypominała jej o Eli i o tym, gdy po raz ostatni siedziały na ławce w Gołęzim Parku. Ela zapytała ją, czy ma depresję. Od ostatniej kłótni o obsesji Shannon na punkcie rodziny Harringtonów było między nimi niezręcznie.

– Nie – odpowiedziała Shannon.

Ela odkasznęła.

– Mama powiedziała, że jeśli nie chcesz się wyprowadzić do ojca, to może pójść z tobą do urzędu i pomóc znaleźć mieszkanie komunalne. – Czyli po to tu przyszła. Mama jej kazała. – Rozumiem, że chcesz rzucić szkołę – powiedziała, po czym wstała, przekazawszy już wszystko, co miała jej do powiedzenia – ale kiedyś uwielbiałaś kółko teatralne. No i masz tę pracę w kwiaciarni. Nigdy wcześniej nie chciałaś się widzieć z tatą. Nawet o nim nie mówiłaś.

Shannon wzruszyła ramionami.

– Powinnaś gdzieś z nami wyjść, zanim wyjedziesz – dodała Ela po chwili. – Przyjdiesz dzisiaj do Spoons?

Shannon pokręciła głową. Musiała wszystko przygotować przed wyjazdem na Fengari. Nie było czasu na zabawę, a sentymentalne pożegnania czy patrzenie w przeszłość nic jej nie dadzą.

– Żal mi cię – powiedziała Ela, odchodząc. – Kiedyś byłaś zdolna i zabawna, a teraz zrobiła się z ciebie suka.

Te słowa powinny ją zaboлеć, ale w miesiącach po śmierci matki Shannon stała się twardsza, a odcięcie się od Eli było czymś, co i tak musiała zrobić. Tak było najlepiej.

Shannon spędziła popołudnie, przymierzając ciuchy na kolację w Clifftop House. Wiele tygodni temu zaplanowała strój na to pierwsze spotkanie: miała włożyć czerwoną sukienkę z przylegającego materiału, z bufiastymi

rękawami. Chciała zrobić wrażenie. W sklepie sukienka wydawała się odpowiednia, ale teraz, gdy Shannon znajdowała się już na wyspie pośród ludzi z pieniędzmi, zdawała się zbyt krzykliwa. W końcu dziewczyna zdecydowała się włożyć nudną czarną mini, która nie była na tyle krótka, że oczy państwa Harringtonów wyskoczyłyby z orbit. W dodatku całkiem nieźle wyglądała z jej sztuczną opalenizną. Zrobiła ją w solarium i kupiła mgiełkę samoopalającą za niebotyczną cenę. Nie było szans, by ktoś oskarżył ją o posiadanie pomarańczowych tonów.

Miała kilka zadań z matematyki do zrobienia – Miriam zadała je z przeproszającym uśmiechem i wyjaśnieniem, że jej matka zapłaciła za pakiet, w skład którego wchodzi również sprawdzanie zadań domowych. Shannon usiadła na łóżku i bezmyślnie wypełniła ćwiczenia – tak, jak zrobiłaby to Lydia. Następnie mocząc się w wannie, sprawdziła stan konta i kwotę, którą wydała na karcie kredytowej Lydii. Karta była podpisana pod konto Clarissy, która dostawała SMS-a za każdym razem, gdy karta została użyta. Shannon powiedziała Lydii, że od czasu do czasu będzie jej używała do zakupów na Fengari, by rodzice dziewczyny myśleli, że jest na wyspie. Shannon miała też swoją własną kartę kredytową oraz debetową, na nazwisko Margot Bonvalier – na te dane złożyła wniosek o niewielką pożyczkę, i sama się zdziwiła, gdy ją dostała. Miała słabość do francuskich nazwisk. Była zauroczona swoim nauczycielem francuskiego, panem Walkerem, który zmieniał się ze sponiewieranego,

zgarbionego nauczyciela w wyrafinowanego mężczyznę, gdy tylko otwierał usta, by *parle français*. Kiedyś wypowiedział słowa *Gare du Nord* z tak powalającą intonacją, że nadal zdarzało jej się powtarzać to w ten sam sposób, jak ulubiony tekst piosenki.

Gdy już sprawdziła konto, otworzyła plik z informacjami, które zdobyła o Harringtonach i Cornwallisach. Zapisała je w chmurze, by zawsze mieć je pod ręką, ale czytała je już tyle razy, że była sobie je w stanie zwizualizować. Nadchodził czas pierwszej wielkiej próby. Adrenalina buzowała w jej żyłach. Wzięła głęboki wdech i wydech, jak miała w zwyczaju przed egzaminami, i zapragnęła przenieść się z powrotem do wygodnego mieszkania, gdzie w kuchni uczyła mamę tańca, debatując, czy do kielbasek lepiej zjeść *purée* czy makaron.

Gdy wyszła z wanny, powiedziała sobie, że nie musi tego robić. Wystarczy, że wymyśli jakąś wymówkę na dziś wieczór, a jutro lub pojutrze opuści wyspę. Gdyby naprawdę tego chciała, ma drogę wyjścia. Wytarła włosy w miękki ręcznik. Nie. Nie zaszła tak daleko tylko po to, by się teraz poddawać. To było coś, na co pracowała przez prawie rok, i każda cząsteczka jej ciała wibrowała w oczekiwaniu.

Shannon wiedziała, że Clarissa wysłała Harringtonom koszyk z luksusowego domu towarowego Fortnum jako podziękowanie za to, że „będą mieli oko” na Lydię podczas jej pobytu na Fengari, ale i tak nie chciała pojawiać się u nich z pustymi rękami. Kluczowe dla powodzenia jej planu było to, by Harringtonowie ją polubili,

a pierwsze wrażenie było wszystkim. Na lotnisku, w sklepie bezcłowym, kupiła czekoladki w kształcie kwiatów – przypominały małe rzeźby i kosztowały niemal tyle, co cała reklamówka wypełniona czekoladą Cadbury.

Rosie wysłała jej kolejną wiadomość, by poinformować, że zamówi taksówkę do Linton Lodge, która odbierze ją o siódmej wieczorem.

Shannon zeszła na dół za piętnaście siódma i usiadła w skórzanym fotelu przy wejściu. Zadowalały ją pełne zachwyty spojrzenia innych gości. Wiedziała, że dobrze wygląda w tej sukience, a fryzura i makijaż idealnie do niej pasowały. Cała stylizacja była prosta i subtelna. Nie tak ubrałyby się, gdyby wychodziła z Elą – gdy nadal były przyjaciółkami – ale najwyraźniej w kręgach dziedziców starej fortuny lubiano taką estetykę. Najpierw lekko dezorientował ją widok zdjęć, na których obrzydliwie bogaci ludzie byli ubrani w coś, co wyglądało jakby kupili na wagę w ciucholandzie, ale zdała sobie sprawę, że w tych ubraniach ukryty jest sekretny szyfr. Na przykład – wypadło mieć na sobie chociaż jedną drogą markę i najlepiej, by był to ciuch, który wyglądał jakby od lat leżał na dnie szafy.

Wysłała wiadomość do Lydii:

„Życz mi powodzenia. Zaraz jadę do Clifftop House! Miej przy sobie telefon, na wypadek, gdybym cię potrzebowała”.

Lydia odpisała natychmiast:

„Powodzenia, Rhiannon!! Dobrze, jestem w pogotowiu. Nie zapomnij później do mnie napisać i WSZYSTKO mi opowiedzieć!”

Taksówka była obskurna i śmierdziało w niej papierosami, a gdy Shannon ustaliła, że w środku nie było klimatyzacji, otworzyła okno. Jazda taksówką wydawała jej się niemądra, skoro mogła tam dotrzeć pieszo w czternaście minut, chociaż może nie w jej ukochanych błyszczących, srebrnych sandałkach od Jimmy'ego Choo. Buty były bardzo hojnym prezentem od samej siebie po tym, jak udało jej się zabukować bilety lotnicze i przeprawę promem.

Dotarli przed bramę Clifftop House, zanim zdążyła się przygotować. Niemal podskoczyła, gdy zdała sobie sprawę, że czekoladki-kwiaty zostały w jej pokoju. Próbowала się uspokoić. *To by było na tyle* – pomyślała. *To jest ten jeden błąd, na który możesz sobie pozwolić dzisiejszego wieczoru.*

Taksówkarz powiedział, że kurs został opłacony przez Harringtonów, ale bez wątpienia liczył na napiwek, więc nie szczędziła mu pieniędzy. Chciała go zapytać, czy znał jej mamę. Ona też przyjechała do tego domu taksówką, załatwioną przez Rosie Harrington, ale gdy kierowca zabrał banknoty, włączył radio, by sobie poszła. Wyszła więc z samochodu. Bez wiatru z otwartego okna, powietrze nagle zdało jej się wilgotne i duszne.

Shannon stała przed największą szansą w swoim życiu – dotarła na miejsce, by spotkać się z Harringtonami.

Gdy po raz pierwszy rozmawiały o zamianie, prawdziwa Lydia przyszła do kwiaciarni, by zostawić jakąś wstążkę, która była specjalnym zamówieniem dla klienta, jak zwykle narzekając, że matka kazała jej w czymś pomóc. Shannon była już do tego przyzwyczajona.

Lydia siedziała w kącie sklepu, na wysokim drewnianym stołku, który służył do robienia aranżacji kwiatowych, i na którym wyraźnie zakazano siadać Shannon. Następnie Lydia przeszła do kolejnego tematu do narzekania – całe jej lato zostanie zrujnowane – rodzice wysyłają ją na Fengari, gdzie z prywatną nauczycielką będzie się uczyć matematyki.

Shannon przestała przycinać lodygi eukaliptusa.

– Porażka – powiedziała Lydia, kładąc ręce po obu stronach owalnej twarzy. Jej ciemnobrązowe włosy opadały do przodu. – Chcę gdzieś pojechać z chłopakiem, ale mama mnie strasznie o to męczy, mimo że to moje wakacje. Jak mam wytrzymać tyle czasu, nie widząc się z nim?

– Pojadę za ciebie na Fengari – odpowiedziała automatycznie Shannon. Aż zakręciło jej się w głowie od możliwości, które otwierałby przed nią taki wyjazd. Stała przed nią idealna szansa na zemstę i miała zamiar z niej skorzystać. – Będę cię udawać.

Lydia się zaśmiała.

– Poważnie – dodała Shannon. – Dałybyśmy radę. Mamy dość podobne twarze, nie sądzisz?

– Musiałabyś spędzać czas z przyjaciółką mojej mamy i jej rodziną – powiedziała Lydia, przewracając oczami.

Oddech Shannon uwiązł w jej piersi, grożąc, że zmieni się w nagły napad kaszlu, ale po chwili udało jej się opanować.

– Nie dałabym rady udawać przy nich ciebie, a może...?

Ostatnie dwa słowa wypowiedziała cicho, ale wyraźnie. Wszystko od nich zależało. Jeśli ten plan się nie powiedzie, Shannon wymyśli inny sposób, by dostać się na Fen-gari... ale jeśli się uda, byłaby to odpowiedź na wszystko.

Oszustwo stawało się jej drugą naturą. Zupełnie jakby odkrywała swój prawdziwy talent. Bardzo ją to ekscytowało. Czuła, jakby udowadniała ludziom, że nie jest nikim.

Lydia zmarszczyła brwi.

– W zasadzie myślę, że dałabyś radę. Nie widziałam ich od lat.

– Musiałabym tylko przyciemnić włosy, zrzucić kilka kilogramów i zainwestować w brązowe soczewki do oczu, co nie? – zapytała Shannon.

Lydia wbiła w nią wzrok. Czyżby przesadziła? Ten tekst o soczewkach mógł zabrzmieć trochę strasznie. Zwykle nie zwraca się uwagi na czyjś kolor oczu, chyba że ten ktoś ci się podoba, albo jego oczy są w jakiś sposób nietypowe, ale Shannon już zaczęła przekuwać swoją wizję w rzeczywistość.

– Ale to by było śmieszne – odpowiedziała Lydia i roześmiana zeszła ze stołka. – Rhiannon, ty wariatko.

Lydia nie знаła nawet jej prawdziwego imienia. Nigdy niczego nie kwestionowała. Tak, to mogłoby się udać.

Kilka miesięcy później Shannon nadal słyszała ten śmiech. Lydia w nią uwierzyła. I nadal wierzy.

Z bliska Clifftop House był jeszcze bardziej olśniewający. Cegła miała bledszy odcień czerwieni niż dach, niemal

różowy w delikatnym wieczornym świetle. Podwójne drzwi wejściowe były białe, obrastały je jasnoczerwone kwiaty. Wiedza Shannon na temat roślin ograniczała się do tych, które sprzedawali w sklepie Clarissy, ale wydawało jej się, że to mogła być bugenwilla.

Jej mama była bardzo podekscytowana przyjazdem tutaj. Zanim się tu zjawiała, nigdy nie podróżowała poza granice Wielkiej Brytanii. To miał być początek zmiany na lepsze. Punkt zwrotny.

Shannon powoli i głośno wypuściła powietrze, po czym zacisnęła pięść, aż jej nieskazitelnie czerwone paznokcie wbiły się w dłoń. Zadzwoiła do drzwi i usłyszała głośny dźwięk dzwonka wewnątrz domu. Drzwi się otworzyły, a Shannon wstrzymała oddech. Spodziewała się pani Pushkin, gosposi, a zamiast niej, patrzyła na twarz, w którą wiele godzin wpatrywała się w Internecie.

Annabel Harrington.

Shannon przesłała jej wymuszony uśmiech. Annabel, młodsza od niej o miesiąc, miała na sobie ciemne jeansy i lawendowy crop top z białą lamówką wokół szyi. Jej wąskie stopy były bose. Shannon mylnie oceniła etykietę ubioru, ale nie mogła się teraz tym przejmować. Delikatnie falowane włosy Annabel w kolorze ciemnego blondy były wilgotne, twarz nieumalowana, paznokcie nie miały śladu lakieru, a usta wykrzywiły się w szyderczym uśmiešku.

– Cześć – powiedziała, nie starając się ukryć, że lustro wała ją wzrokiem z góry na dół.

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie
rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej
przez Wydawnictwo Zielona Sowa.
Zabronione są jakiegolwiek zmiany w zawartości publikacji
bez pisemnej zgody Wydawnictwa Zielona Sowa.**

Serdecznie dziękujemy za pobranie fragmentu książki!
Mamy nadzieję, iż przypadł Państwu do gustu!

Już dziś zapraszamy do zakupu książki w naszym sklepie
www.zielonasowa.pl